

Ile za planowaną gospodarkę?

Autor: Friedrich A. Hayek

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: Maciej Mrug

I

Klasyczny liberalizm z dzisiejszym socjalizmem (wciąż nazywanym przez niektórych liberalizmem) łączy niewątpliwie przekonanie, że pełna realizacja wolności jednostki jest niemożliwa bez uprzedniego zaspokojenia jej podstawowych potrzeb bytowych. Jeśli uszczuplenie swobód gospodarczych ma być ceną za zrealizowanie tego zamiaru, należy ją bezwzględnie zapłacić. Można przyjąć, iż zwolennicy ograniczenia prywatnych inicjatyw na polu gospodarki wierzą, że objęcie kontrolą tej dziedziny życia pozwoli zwiększyć jednocześnie zakres wolności w innych — według nich ważniejszych — sferach ludzkiego funkcjonowania.

Socjalistyczny ideał wolności, który obejmuje płaszczyznę społeczną, gospodarczą i polityczną, został rozśląwiony z takim powodzeniem, że głosy opozycji przyrównującej socjalizm do niewolnictwa przechodzą już całkowicie bez echa. Zapewne zdecydowana większość socjalistycznych intelektualistów uważa się za prawdziwych obrońców kulturowej i intelektualnej tradycji wolności, na którą wciąż czyha straszliwe monstrum autorytaryzmu.

Jednak tu i ówdzie w twórczości co bardziej niezależnych współczesnych myślicieli, spośród których większość zaakceptowała powszechne tendencje kolektywistyczne, da się wyczuć nutkę niezadowolenia. Byli oni zmuszeni zadać sobie pytanie, czy niektóre szokujące wydarzenia ostatnich kilkadziesiąt lat nie są aby stukami popieranymi przez nich dążeń.

Istnieją przesłanki zdające się potwierdzać tę hipotezę, jak np. poglądy wyznawane niegdyś przez obecnych autorytarnych przywódców oraz fakt, iż wielu co bardziej postępowych socjalistów otwarcie przyznaje, że realizacja ich celów pociągnie za sobą ograniczenia wolności osobistych.

Podobieństwa pomiędzy większością głównych cech „fasyzmu” i „komunizmu” zaczynają się stopniowo uwidaczniać. Nie jest zjawiskiem

przypadkowym, że w państwach faszystowskich socjaliści są postrzegani jako potencjalni sprzymierzeńcy, podczas gdy liberałów dawnej szkoły uważa się za wrogów numer jeden.

Dostateczny pretekst do namysłu stwarzają przede wszystkim skutki stopniowego rozprzestrzeniania się kolektywizmu w krajach, gdzie instytucje społeczne i polityczne wciąż jeszcze kultywują tradycje wolności. Bliższe spojrzenie na intelektualną ewolucję społeczeństw, które ostatecznie ugięły się pod jarzmem autorytaryzmu, pokazuje, że załączków analogicznych procesów można doszukać się także w krajach wciąż wolnych.

Czy możemy być pewni, że wiemy, skąd dokładnie nadejdzie zagrożenie dla wolności?

Czy narodziny faszystowskich reżimów są rzeczywiście intelektualnym buntem wznieconym przez tych, którzy stracili swoją uprzywilejowaną pozycję w konsekwencji społecznego postępu? Klasy pracujące nie mają już oczywiście wpływu na sprawy państwowe — władzę przejęła lepiej zorganizowana oligarchia. Ale czyż nowe grono rządzących nie zaaprobowało tych samych fundamentalnych założeń i metod działania i czyż nie wykorzystało ich do osiągnięcia swoich własnych celów?

Zdumiewa fakt, że ta brzemienne w skutki hipoteza nie doczekała się jak na razie szerszej analizy. Jeśli podejrzenie co do istnienia takich zależności by się sprawdziło, byłibyśmy świadkami największej tragedii w historii ludzkości. Coraz większe grupy społeczne, rozdrażnione tłamszeniem intelektualnej i politycznej wolności w swoich krajach, zasilają szeregi siły politycznej, która uczyni wszechobecną opresję rzeczą nieuniknioną. Oznaczałoby to, że wielu najaktywniejszych zwolenników umysłowej wolności to w istocie jej najwięksi wrogowie — o wiele groźniejsi, niż ci zdeklarowani, ponieważ przeciągają na swoją stronę ludzi, którzy wycofali się z przerażeniem, gdyby tylko zrozumieli, jakie są ostateczne konsekwencje ich postępowania.

II

Spróbuję wykazać, że wspomniana zależność, której istnienie sugerują dotychczasowe doświadczenia, musi być uznana za konieczną, dającą się logicznie wyprowadzić z istniejącego porządku rzeczy.

Zasadniczy argument jest bardzo prosty. Centralne planowanie, uważane za niezbędne w celu racjonalniejszej i wydajniejszej organizacji aktywności gospodarczej, zakłada istnienie znacznie bardziej całościowego porozumienia społecznego co do ważności realizacji określonych zadań, niż jest to faktycznie możliwe. Aby zatem móc cokolwiek zaplanować, władze odpowiedzialne za planowanie muszą narzucić społeczeństwu szczegółowy kodeks wartości, co do którego nie ma powszechnej zgody.

Narzucanie nie oznacza tutaj jedynie umieszczenia takiego szczegółowego kodeksu na miejscu ogólnikowych założeń, na które obywatele są jeszcze w stanie przystać. Ludzi należy skłonić do wyznawania konkretnego zbioru wartości, ponieważ od tego zależy sukces lub porażka planistów. Rządzący będą mogli uzyskać entuzjastyczne poparcie obywateli, gdy ci uwierzą w słuszność założeń sformułowanego planu. Również końcowy rezultat będzie odbierany jako pozytywny tylko wtedy, kiedy postawione cele będą wydawały się właściwe.

Pełniejsze objaśnienie należy zacząć od poruszenia problemów, które powstają, gdy demokracja zaczyna iść w parze z planowaniem.

Planowanie należy rozumieć w szerokim sensie tego słowa, tzn. jako każdą świadomą próbę centralnego kontrolowania działalności gospodarczej, która wychodzi poza ogólne zasady obowiązujące wszystkich jednakowo, oraz jako próbę dyktowania poszczególnym obywatelom, co należy robić, a czego nie. Głosy aprobujące takie rozwiązania stają się słyszalne, gdy ludziom obiecuje się poprawę standardu życia, jeśli tylko pozwolą, aby przemysł był świadomie regulowany w oparciu o racjonalne przesłanki, oraz gdy wydaje się oczywiste, że żądane rezultaty da się osiągnąć na drodze planowania. Porozumienie co do samych celów planowania jest z konieczności ograniczone do mglistych sformułowań, jak np. dobro wspólne, większa równość, sprawiedliwość itp.

Konsensus w stosunku do tak uogólnionych założeń nie wystarczy, aby nakreślić cały plan, nawet jeśli uznamy, że istnieje po temu zaplecze techniczne. Planowanie zawsze wymaga poświęcenia jednych celów na rzecz drugich oraz zawierania kompromisów pomiędzy kosztami a korzyściami, a to z kolei zakłada konieczność ustalania priorytetów. Zgoda na wykonanie danego planu to znacznie więcej niż tylko akceptacja pojedynczej zasady etycznej, to znacznie więcej niż zgoda na przestrzeganie jakiegokolwiek istniejącego kodeksu

moralnego. Tutaj potrzeba ustalenia całościowej hierarchii wartości, która wyrażałaby się w decyzjach podejmowanych przez każdego obywatela z osobna, ale której stworzenie w społeczeństwie indywidualistycznym nie jest ani możliwe, ani konieczne.

Fakt, że wymagany zakres porozumienia jest niemożliwy do uzyskania, aby przekształcić to właśnie porozumienie co do zasadności planowania w konkretne działanie, niesie za sobą dwie ważne konsekwencje.

Po pierwsze, powoduje to rażącą niezdolność demokratycznych instytucji do wprowadzania w życie tego, co zdaje się być wolą obywateli, ponieważ problem braku porozumienia ujawnia się, kiedy trzeba przełożyć niejasne wytyczne na konkretne działanie. Stąd rosnące niezadowolenie z „paneli dyskusyjnych”, których członkowie nie potrafią dojść do porozumienia nawet w sprawach postrzeganych przez zwykłych ludzi jako dziecinnie proste.

III

Drugim skutkiem, który uwidacznia się za każdym razem, gdy demokracja zaczyna polegać na planowanej gospodarce, jest powszechne przekonanie, że jeśli planowanie w danej dziedzinie ma być skuteczne, to proces decyzyjny musi zostać „odpolityczniony” i przekazany niezależnym, autonomicznym organizacjom. Zwykle tłumaczy się to fachowym charakterem decyzji, do których podejmowania członkowie demokratycznych zgromadzeń nie mają kwalifikacji.

Ale tego rodzaju usprawiedliwienia nie dotyczą sedna problemu. Wprowadzanie zmian w systemie prawa cywilnego jest nie mniej skomplikowane, a konsekwencje takiego działania nie mniej dalekosiężne, ale mimo to nikt nie postuluje, żeby przekazać nadzór nad tworzeniem ustaw wąskiej grupie ekspertów. Uchwalone w ten sposób przepisy na pewno byłyby stosowane w szerszym zakresie, niż zgodziłyby się na to większość.

Jeśli chodzi o planowanie gospodarcze, np. w takich dziedzinach jak transport czy przemysł, mnogość różnorodnych interesów do pogodzenia uniemożliwia podjęcie jednoznacznej decyzji przez demokratyczne zgromadzenia. Aby zatem rozszerzyć pole działania poza kwestie, co do których istnieje faktyczna zgoda, decyzje podejmuje nieliczna grupa reprezentantów najsilniejszych grup interesów.

Ten środek zastępczy nie jest jednak dość skuteczny, aby móc załagodzić niezadowolenie, jakie nieporadność demokracji wzbudza u wszystkich sympatyków szeroko zakrojonego planowania. Pozostawienie decyzji w rękach wielu niezależnych instytucji stwarza nową barierę na drodze właściwego nadzoru państwowego nad różnymi dziedzinami życia.

Ciała ustawodawcze z natury niechętnie przekazują komuś swoje kompetencje w sprawach naprawdę ważnych. Zgoda co do tego, że planowanie jest niezbędne, wraz z jednoczesną niemożnością sformułowania konkretnego planu musi w konsekwencji prowadzić do postulatów, aby rząd lub pojedyncza osoba otrzymały uprawnienia, które pozwolą im na nieskrępowane działanie. Coraz powszechniej uważa się, że osoby kierujące wykonaniem planu należy uwolnić z okowów demokratycznych procedur.

Demokratyczne rządy skompromitowały się, ponieważ powierzono im wykonanie zadań, do których nie były przystosowane. To bardzo ważny fakt, któremu jak na razie nie poświęcono dostatecznie dużo uwagi. Ale podstawowe twierdzenie sprowadza się do tego, że prawdopodobieństwo osiągnięcia porozumienia wśród znacznej części społeczeństwa co do konkretnego działania zmniejsza się wraz ze zwiększaniem się roli państwa.

Państwo musi wziąć na siebie niektóre funkcje i praktycznie nikt nie będzie przeciwko temu protestował. Na przejęcie innych funkcji zgodzi się wciąż znaczna, ale mniejsza już grupa obywateli. I tak dalej, aż w końcu trafimy do punktu, w którym każdy będzie twierdził, że ingerencja rządu jest w jakimś sensie konieczna, ale liczba opinii na temat formy tej ingerencji będzie równa liczbie samych zainteresowanych.

Demokratyczne rządy funkcjonowały dopóty, dopóki rola państwa nie wykraczała poza dziedziny, gdzie większość była w stanie osiągnąć realne porozumienie. Cena, jaką płacimy za istnienie demokracji, to ograniczenie działań państwa do sfer, w których da się doprowadzić do konsensu. Wielką zasługą liberalnego społeczeństwa jest fakt, że nie zmusza ono swoich członków do zawierania daleko posuniętych kompromisów. Wymaga jedynie uznania różnorodności jednostkowych opinii, które cechują wolną zbiorowość.

Często mówi się, że demokracja nie toleruje kapitalizmu. Ale jeśli kapitalizm ma oznaczać społeczeństwo oparte na konkurencji i korzystające z praw do dobrowolnego rozporządzania własnością prywatną, okazuje się, że jest

to jedyny gwarant istnienia demokracji. Jeśli demokratyczne społeczeństwa ulegną naciskom ze strony wyznawców antykapitalistycznego *credo*, niechybnie przestaną być demokratycznymi.

IV

Nawet jeśli demokracja zrzekłaby się prawa do kontrolowania życia gospodarczego, niektórzy wciąż uważaliby zaistniałą sytuację za mniejsze zło, a wielkie nadzieje wciąż pokładaliby w planowaniu. Jeśli kontrolowanie gospodarki ma być skuteczne, demokracja musi ustąpić — wie o tym wielu zwolenników planowania, i w pełni się z tym faktem pogodzili.

Wiara, że autorytarne rządy mogą ograniczyć się jedynie do regulowania kwestii gospodarczych, jest niestety fatalnym złudzeniem. Smutna prawda jest taka, że dyktatorska władza nie może poprzestać na nadzorowaniu gospodarki, ale musi się rozrastać i ewoluować do totalitaryzmu w dosłownym znaczeniu. Dyktator życia gospodarczego wkrótce poczuje się zmuszony — nawet wbrew własnym pierwotnym planom — by objąć władzę nad każdym aspektem życia politycznego i kulturalnego.

Ustaliliśmy już, że planista nie może jedynie umieścić szczegółowej hierarchii wartości w miejsce ogólnych wytycznych, które wyłaniają się z powszechnej wrzawy. Jeśli chce działać efektywnie, musi sprawić, by ludzie uwierzyli, że proponowany kodeks moralny jest tym właściwym. Musi stworzyć jedność w dążeniu do celu, która — poza kryzysami w postaci wojny — nie istnieje w wolnym społeczeństwie. Co więcej, jeśli dyktator ma otrzymać pozwolenie na wykonanie planu, który sam uważa za słuszny, nie może utracić poparcia społecznego, tzn. musi uciec się do propagandy sukcesu.

Podejmowanie decyzji o tym, które ze sprzecznych ze sobą interesów są ważniejsze, jest siłą rzeczy podejmowaniem decyzji o relatywnym znaczeniu różnych grup oraz jednostek. Planowanie z konieczności przekształca się w planowanie na korzyść jednych kosztem drugich. Problemem nie jest oczywiście to, że sami zainteresowani nie są w stanie zdecydować, które z ich poszczególnych życzeń są ważniejsze, ale raczej o to, że owych życzeń nie da się ze sobą pogodzić. Założenia, na których opierają się mniej lub bardziej arbitralne decyzje władcy, muszą stwarzać pozory sprawiedliwych i muszą odwoływać się do jakiegoś niekwestionowanego ideału, w który każdy powinien wierzyć.

Naturalne różnice pomiędzy jednostkami muszą przekładać się na różnice zajmowanych stanowisk. Najbardziej naturalnym i najwygodniejszym kryterium ich przydzielania jest stopień poparcia dla władcy i jego działań. Podział staje się tym bardziej klarowny, jeśli na szczycie drabiny społecznej znajdzie się arystokrata w pełni podzielający zamysły władcy, a na samym jej dole — wyrzutek klasowy, którego dążenia można zawsze zignorować i poświęcić na rzecz klas uprzywilejowanych.

Wyznawanie dominujących poglądów nie jest czymś, co można uznać za szczególną cnotę, ale wynagrodzeni zostaną ci, którzy wykażą się nieprzeciętnym oddaniem. Posłuszeństwa wymagać należy od każdego. Przejawy zwątpienia w zasadność stawianych celów oraz metod stosowanych do ich realizacji mogą negatywnie wpłynąć na zaufanie i entuzjazm obywateli, tak więc należy je traktować jako sabotaż.

Formułowanie i wdrażanie pospolitego *credo* oraz wiara w ponadprzeciętną mądrość władcy stają się nieodłącznymi narzędziami, od których użycia zależy powodzenie realizacji planu. Bezwzględne wykorzystywanie każdego dopuszczalnego chwytu propagandowego oraz tłumienie wszelkich głosów sprzeciwu to nie przypadkowo cechy centralnie sterowanego systemu — to jego nieodzowne elementy.

Moralny przymus nie może ograniczyć się jedynie do wdrażania kodeksu zasad etycznych leżącego u podstaw całego planu. Wiele z nakazów oraz wartości w nim zawartych nie może być siłą rzeczy jasno zdefiniowanych, istnieją tam tylko *implicite*. Oznacza to, że każdy aspekt planu, a nawet każde działanie rządu i podległych mu struktur noszą znamiona świętych i nie wolno ich krytykować.

Jednak przemocą można zdławić jedynie słyszalne głosy sprzeciwu. Wątpliwości, o których się nie mówi i rozterki, których nigdy się nie rozgłasza, mają równie niszczycielski wpływ, nawet jeśli nie wychodzą poza ludzkie myśli. Obywateli należy odizolować od wszystkiego, co może obudzić w nich uczucie niezadowolenia. Możliwość porównania obecnej sytuacji do sytuacji w innych miejscach, wiedza na temat istniejących alternatyw dla obranego kursu, informacje mogące wykazać porażkę rządu, który nie sprostął swoim obietnicom lub nie wykorzystał z możliwości poprawienia standardu życia obywateli — to wszystko należy przemilczeć.

Prawdę mówiąc, nie ma takiej dziedziny, przez pryzmat której nie mógłby być postrzegany rząd. Nie istnieje zatem żadna dziedzina, w której pozwolono by na swobodny przepływ informacji.

Nie jest rzeczą przypadkową, iż rząd, który wierzy, że jest w stanie zaplanować życie gospodarcze, przybiera wkrótce charakter totalitarny. Jeśli pozostanie wierny swoim planistycznym założeniom, nie będzie innego wyjścia. Gospodarki nie można oddzielić od innych płaszczyzn ludzkiego życia — to sposób zarządzania środkami, które służą nam do realizacji różnych zamierzeń. Jeśli ktoś przejmuje nadzór nad tymi środkami, musi zdecydować, jakie cele będą realizowane, jakie wartości będą cenione bardziej, a jakie mniej — w skrócie: w co człowiek powinien wierzyć i o co walczyć. Jednostki stają się jedynie narzędziami do realizacji celów, które przyświecają dyktatorowi.

Strachem napawa fakt, że dla większości żyjących dziś ludzi ta wizja — nawet, gdy uznają, że jest realna — nie jest już tak przerażająca, jak byłaby dla naszych ojców. Zawsze istnieli tacy, którzy uważali przymus intelektualny za karygodny tylko wtedy, gdy praktykowali go inni. Ale jeśli przymus miałby służyć realizacji zaakceptowanych przez nich celów, stwierdziliby, że jest jak najbardziej wskazany.

Jakże wielu intelektualistów zmuszonych do opuszczenia autorytarnych państw zaakceptowałyby z gorliwością kontrolę myśli, którą krytykują u swoich przeciwników, aby skłonić ludzi do wiary we własne ideały. Całkiem przypadkowo stanowi to kolejny przykład bliskiego pokrewieństwa głównych założeń faszyzmu i komunizmu.

Choć liberalny wiek był pod względem wolności umysłowej najlepszym, jaki mógł się przydarzyć, pragnienie zmuszenia ludzi do wyznawania *credo*, które ma im przynieść zbawienie, nie jest zjawiskiem nowym. Nowością jest natomiast próba usprawiedliwiania takich dążeń przez współczesnych nam socjalistycznych intelektualistów.

Mówi się, że w kapitalistycznym społeczeństwie nie istnieje prawdziwa wolność intelektualna, ponieważ opinie i gusta mas są warunkowane przez propagandę, reklamę, wpływ wyższych klas i inne czynniki środowiskowe, które sprowadzają ludzkie myślenie na te same, ubite już szlaki. Dalsza część argumentacji wykazuje, że jeśli wyobrażenia i gusta znacznej większości są zależne od czynników środowiskowych, które da się kontrolować, to ludźmi

można pokierować w taki sposób, aby ich myśli skupiły się na tym, co sami uważamy za słuszne. Wychodząc z założenia, że zdecydowana większość obywateli nie nauczyła się samodzielnego myślenia i przejmuje gotowe wzorce, można wysnuć wniosek, że pewna grupa ludzi — czytaj: wyznawcy tego poglądu — posiada mandat na wyłączne decydowanie o tym, w co powinna wierzyć reszta społeczeństwa.

V

Nie będę zaprzeczał, że zdecydowana większość ludzi nie widzi różnicy pomiędzy wolnością intelektualną a jej brakiem, a jej istnienie nie przekłada się na ich życiową satysfakcję. Nie zaprzeczam również, że zapewne byłiby oni tak samo szczęśliwi, jeśli urodziliby się w innym miejscu, zostaliby przyuczeni do wiary w inne wartości oraz przyzwyczailiby się do innych rozrywek.

W każdym społeczeństwie znajdzie się raczej niewiele jednostek, które docenią intelektualną wolność i którym będzie zależeć na jej istnieniu — taka jest smutna prawda. Jednak umniejszanie znaczenia tak ważnej swobody osobistej tylko dlatego, że nigdy nie zagwarantuje ona każdemu takich samych możliwości niezależnego myślenia, oznacza kompletny brak pojęcia, na czym polega jej prawdziwa wartość. Wolność intelektualna spełnia swoją funkcję siły napędowej umysłowego rozwoju nie wtedy, kiedy każdy myśli i mówi, co uważa za słuszne, ale wtedy, kiedy każda koncepcja czy argument mogą zostać poddane dyskusji.

Dopóki odmienne poglądy nie będą faktycznie napiętnowane, zawsze znajdzie się ktoś, kto podważy dominujące wyobrażenia i przedstawi nowe pomysły, które z kolei będą musiały przejść próbę krytyki i propagandy. Proces społeczny, który nazywamy ludzkim rozumowaniem, a który polega na konfrontacji jednostek posiadających różnorodną wiedzę i poglądy — czasem takie same, a czasem sprzeczne — trwa nieprzerwanie.

Kiedy będzie istniała możliwość sprzeciwienia się czemukolwiek, znajdą się i przeciwnicy, choćby była to bardzo nieliczna grupa ludzi zdolnych do niezależnego myślenia. Jedyne narzucenie oficjalnej doktryny, którą każdy winien zaakceptować i której nikt nie ośmieli się skrytykować, może zahamować intelektualny postęp.

Tylko przykład państwa totalitarnego pozwala naprawdę zrozumieć, jak bardzo autokratyczne *credo* dławi wszelkie przejawy niezależnych dociekań, jak próby poszukiwania prawdy przynoszą rozczarowanie, a jej definicja staje się synonimem posłuszeństwa oficjalnemu wyznaniu wiary, i jak różnice poglądów w każdej dziedzinie wiedzy przekładają się na kwestie polityczne.

Miejmy nadzieję, że ci mieszkańcy Zachodu, którzy wydają się być gotowi na poświęcenie intelektualnej wolności, ponieważ nie zapewnia ona wszystkim równych warunków bytowych, zdadzą sobie sprawę, jakie są konsekwencje tego wyboru.

Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi fakt, że traktujemy spuściznę liberalnego wieku jako coś oczywistego, uważamy ją za nierozłączny element naszej cywilizacji i nie potrafimy sobie wyobrazić, co by się stało, gdybyśmy ją utracili. Ale wolność i demokracja nie są podarkami, które możemy sobie zatrzymać jedynie dzięki dobrej woli.

Wydaje się, że nadszedł czas, kiedy musimy sobie ponownie uświadomić, jakie warunki sprawiają, że demokracja i wolność mogą zaistnieć. Tych warunków trzeba bronić, nawet jeśli oznaczałoby to kres dążeń do osiągnięcia innych ideałów.

Tekst ukazał się w magazynie „Contemporary Review of London” w kwietniu 1938 r.